

KIEDY ZEGAR
WYBIJE DZIESIĄTĄ

Książki AGNIESZKI BŁOTNICKIEJ

Kiedy zegar wybije dziesiątą
Czarna Operacja

Dla mojej mamy Krystyny

AGNIESZKA BŁOTNICKA



KIEDY ZEGAR
WYBIJĘ DZIESIĄTĄ

Nasza Księgarnia

This edition © copyright
by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2010
Text © copyright by Agnieszka Błotnicka,
2010 by arrangement with Syndykat Autorów

Projekt okładki, stron tytułowych i grafik:
Marta Weronika Żurawska-Zaręba

PROLOC

To wydarzyło się nocą, kiedy miasto odpoczywa po zgiełku dnia, a wszystkie – nawet te najpilniejsze – sprawy zostają zawieszane do chwili, kiedy znów powoła je do życia jasny poranek. Noc jest wrogiem tych, którzy walczą z bezsennością i w oczekiwaniu na sen mozolnie odliczają upływające minuty, a te dłużą się niemiłosiernie, skapując jedna po drugiej, jak krople zawiesistej cieczy. Ma się wtedy wrażenie, że noc jest potężna i nieskończona, a ciemność nigdy nie przeminie. Są jednak i tacy, którzy wyczekują na moment, aż zamilkną klaksony samochodów, gwar rozmów i nawoływania sprzedawców. Dla ich zamierzeń i planów czas zapadającej ciemności zawsze był i będzie sprzymierzeńcem.

Nadeszła noc, a nad warszawskimi ulicami zawisła gęsta mgła. Przenikliwy chłód przegonił do domów ostatnich przechodniów i po chwili miasto pogrążyło się w letargu. Kiedy pogasły w oknach ostatnie światła, w małą uliczkę niedaleko Starego Miasta wjechała czarna furgonetka. Pokonała kilkanaście metrów i zatrzymała się przy wygaszonej witrynie sklepu spożywczego. Reflektory samocho-

du zgasty, a silnik zamilkł, lecz nikt nie wysiadł. Znowu zrobiło się cicho. Gęstniejąca mgła sprawiła, że latarnie miast oświetlać chodnik i jezdnię, dawały jedynie słabą poświatę. Upłynęło kilka minut niezmaconych żadnym dźwiękiem – poza jednym, odległym odgłosem karetki lub wozu policyjnego przejeżdżającego kilka ulic dalej. Po chwili ucichł nawet i on, a wtedy drzwi auta otworzyły się z cichym zgrzytnięciem i wysiadło dwóch mężczyzn. Ubrani w czarne kombinezony, w czapkach naciągniętych na twarze, nie przypominali zwykłych przechodniów. Pierwszy z nich, wysoki i potężnie zbudowany, z niewielką torbą w ręku, przeszedł kilka metrów i zatrzymał się przy kracie zabezpieczającej drzwi wejściowe do ekskluzywnego sklepu. Drugi w tym czasie rozejrzał się po ulicy, a następnie omiół wzrokiem okna kamienic w poszukiwaniu niepożądanych oczu. Jednak wszystko wskazywało na to, że mieszkańcy udali się już na spoczynek – nie było nikogo, kto zainteresowałby się dwoma osobnikami kręcącymi się po ulicy w mglistą noc. Upewniwszy się, że nie są przez nikogo podglądani, obaj mężczyźni przeszli do realizacji planu. Wysoki, stojący przy kratkach, postawił torbę na ziemi, następnie wyjął z niej wielkie nożyce do cięcia metalu. Jego współnik w tym czasie obserwował ulicę – choć było to mało prawdopodobne, teoretycznie w każdej chwili mógł pojawić się na niej jakiś intruz. Ciszę nocy zakłócał krótki, metaliczny dźwięk ciętej stalowej kraty. Wysoki mężczyzna schował narzędzie i dał znak kompanowi. Obaj, siłując się nieco, odgięli pręty. W tym momencie jedyną przeszkodą były już tylko szklane drzwi sklepu.

Mężczyźni zamienili ze sobą kilka słów. Świadkiem ich szybkiej, nerwowej narady mogła być jedynie senna mgła i wilgotne chodniki. Chwilę później wypadki potoczyły się w zawrotnym tempie. Rozległ się brzęk tłuczonego szkła, a zaraz potem zawył przejmujący sygnał syreny alarmowej. Niezrażeni hałasem włamywacze weszli do środka. Nie upłynęła minuta, a ponownie pojawili się na ulicy – wypadli ze sklepu i biegiem ruszyli w stronę furgonetki. Alarm zbudził kilka osób, w ich oknach zabłyśły światła, ale ciekawscy, którzy wyjrzeli, aby sprawdzić, co się dzieje, zdołali dostrzec jedynie tył znikającego za rogiem samochodu. Czy mieszkańcy kamienicy mogli przypuszczać, że dwa przedmioty, które padły tej nocy łupem złodziei, już niedługo postawią na równe nogi policję, wszystkie polskie dzienniki i telewizje? Z pewnością nie wiedzieli o tym policjanci, którzy po kilku minutach pojawili się na miejscu zdarzenia – wygięta krata i rozbita szyba drzwi wejściowych bez wątplenia świadczyły o włamaniu. Jednak o wartości tego, co zostało wyniesione ze środka, mieli się dowiedzieć dopiero kilka godzin później.

To nie była najlepsza noc dla komisarza Jacka Radeckiego. Po ciężkim dniu, który zakończył się dla niego dobrze po północy, dwie godziny po tym, kiedy udało mu się wreszcie usnąć, obudził go dzwonek telefonu. Komisarz zapalił lampkę nocną i spod półprzymkniętych powiek zerknął na stojący na szafce zegarek. „Trzecia w nocy! Czy już do końca życia będę sypiał po dwie godziny?!” – pomyślał rozżłoszczony. Telefon dzwonił i nie dawał za wygraną, więc w końcu Radecki niechętnie sięgnął po słuchawkę.

Wiadomość, jaką mu przekazano, zupełnie go zelektryzowała. Po zakończonej rozmowie siedział jeszcze chwilę na łóżku, nie wierząc w to, co usłyszał.

– Jak to możliwe? – powiedział sam do siebie, zupełnie już rozbudzony. Sprawa, o której właśnie usłyszał, wyglądała na najpoważniejszą od dobrych kilku lat. Zdobyte przez ten czas doświadczenie podpowiadało mu teraz, że oto czeka go kolejne żmudne śledztwo z trudnym do przewidzenia finałem.

ROZDZIAŁ I

KOSZMARNY POCZĄTEK WAKACJI

Minęło ponad pół roku od warszawskiej kradzieży. Nadeszło gorące lato. Kto mógł, spakował walizki i wyruszył na wymarzone wakacje.

Zrezygnowany Janek oparł głowę o szybę samochodu. Spoglądał smętnie na uciekające za oknem budynki, na mijane pola i przydrożne słupki. Warszawa została daleko za nimi. Jechali teraz ładną drogą w stronę Lublina. W zupełnie inną stronę, niż życzyłyby sobie chłopak.

– Mniej więcej za półtorej godziny powinniśmy być w Kazimierzu Dolnym. Twoja mama miała świetny pomysł. Będziemy łązić na spacer, gadać... Nadrobimy wszystkie zaległości – obiecywał z entuzjazmem Jerzy Karski i spojrział na siedzącego obok syna. – Co ty masz taką minę? Przecież będzie fajnie.

„Fajnie? Co może być fajnego w wakacjach z ojcem?” – pomyślał Janek. Powinien znajdować się teraz w pociągu wiozącym wszystkich jego kumpli na obóz sportowy do Pogorzelic. To tam miała zapaść decyzja, kto się dostanie do ścisłej kadry piłkarskich młodzików. Czy nie po to biegał przez cały rok na treningi, męczył się i godzinami

pracował nad techniką, z dnia na dzień stając się – jak mawiał trener – „nadzieją polskiego sportu”? Marzenie o zakwalifikowaniu do kadry oddalało się i blakło wraz z każdym przebytym kilometrem. Jechał do jakiegoś paskudnego, małego miasteczka, a ojciec starał się go przekonać, że zmierzają do raj, wymarzonego miejsca na wakacje. Na ich wspólne wakacje. Jeśli ktokolwiek sądził, że w tej sytuacji będzie robił dobrą minę do złej gry, to się mylił.

A wszystko zaczęło się od wielkiej awantury zaraz po zakończeniu roku szkolnego. Trzy oceny dopuszczające na świadectwie – z fizyki, matematyki i geografii – wywołały w jego domu istne piekło. Matka chodziła roztrzęsiona i dramatycznym tonem obwieszczała, że rozwój oraz edukacja jej dziecka stanęły w obliczu apokalipsy. Tworzyła barwne i plastyczne wizje tego, co się z nim stanie w przyszłości i jak tragiczne mogą być konsekwencje wczesnych zaniedbań. Ojciec siedział zafrasowany na kanapie, a minę miał taką, jakby bura o złe oceny dotyczyła bezpośrednio jego samego. Kiedy mama poczuła, że kończy jej się amunicja, wycelowała oskarżycielski palec w stronę męża: „To wszystko twoja wina. Dla ciebie liczy się tylko praca. Ani się obejrzysz, jak twój syn stanie się pospolitym przestępcą”. Być może wszystko skończyłoby się dobrze i trafiłby na obóz w Pogorzelic, gdyby nie odpowiedź taty. Ojciec westchnął i spoglądając na żonę z uśmiechem, powiedział: „Miałem poprawkę z fizyki i nadal nie wiem, jak powstaje morena denna, ale czy to znaczy, że jestem bandziorem?”. Ta niewinna, zdaniem ojca, próba zbagatelizowania sprawy została okrzyknięta przez mamę haniebnym odwracaniem

kota ogonem i wtedy zapadła ta straszna decyzja. „Żadnego sportu, żadnej piłki nożnej. Nie miałeś czasu dla Janka w ciągu roku, znajdziesz go w wakacje. I niech nie przyjdzie ci do głowy zabierać laptopa”. Tata próbował jeszcze protestować, ale słowa mamy brzmiały jak wyrok surowego sądu bez możliwości apelacji.

– Wiesz, że mama zarezerwowała dla nas jeden z najładniejszych pensjonatów w Kazimierzu? – zapytał wesoło pan Karski, zdając się nie zauważać ponurej miny syna.

– Aha... – Janek z powątpiewaniem skinął głową. – Będzie tak świetny jak ten w Karwi?

Strzał był celny. Tata Janka nie odpowiedział. W zeszłym roku mama wynajęła dla całej ich trójki genialną, w jej mniemaniu, kwaterę nad morzem. Na zdjęciach w internecie wszystko wyglądało fantastycznie, ale dopiero na miejscu okazało się, że pokój ma jedno malutkie okienko, a do plaży są dwa kilometry. Aby na nią dotrzeć, musieli przechodzić przez jakieś okropne ściernisko, tachając ze sobą mnóstwo rzeczy – leżaki, parawan, koce, materac, torbę z jedzeniem i napojami, a gdy wracali, czekał na nich duszny pokój z widokiem na kurnik. „Elegancki pensjonat” zbudowano na torfowym podłożu, więc po jego terenie chodziło się jak po łóżku wodnym, a w niektórych miejscach nogi wręcz grzęzły w miękkiej ziemi. Niemal każdego wieczora mama pomstowała na nieuczciwych właścicieli i zarzekała się, że po raz ostatni zaplanowała rodzinny wyjazd. Janek przywołał jedno z koszmarniejszych wspomnień ze wspólnych wakacji.

– Uparłeś się dzisiaj czy co? Zrzędzisz jak... babcia Jadwiga – ofuknął syna rozdrażniony pan Karski.

Nagle uświadomił sobie, że jego syn przestał być małym Janeczkiem. „On fechtuje ciętymi ripostami równie sprawnie, jak ja. Kiedy się tego nauczył? Czy ja czegoś nie przeoczyłem?” – pomyślał, po czym zerknął na dwunasto-latka, który ze smętną miną wpatrywał się w krajobraz za oknem. „Kiedy dojedziemy na miejsce, humor na pewno mu się poprawi”. Mocniej docisnął pedał gazu, a samochód, nienawykły do nagłych przyspieszeń, zatrzeszczał i zgrzytnął. „Żeby tylko nie wykręcił mi jakiegoś numeru” – przemknęło przez głowę panu Karskiemu. „Może się zepsuje... Wtedy ojciec będzie musiał zmienić plany” – stwierdził Janek i z lekką nadzieją zaczął wsłuchiwać się w chrapliwą pracę silnika. Samochód jechał jednak dalej i z każdym kilometrem przybliżał ich do celu. Resztę drogi pokonali w milczeniu.

Do miasteczka dojechali późnym popołudniem. Słońce co chwila przesłaniały kłębiaste chmury, ale letni upał nie zelżał. Zaciekawiony Janek z okien samochodu oglądał okolicę. Droga dojazdowa do Kazimierza biegła nad brzegiem połyskującej w słońcu Wisły. Po lewej stronie ciągnęło się rozległe wzgórze, u którego stóp Janek dostrzegł dwa dziwne, stare budynki.

– To spichlerze. Kiedyś, przed wielu laty, flisacy składowali w nich zboże. Teraz są tutaj hotele – wyjaśnił mu tata.

Po chwili wjechali do centrum. Janek musiał przyznać, że Kazimierz nie przypominał zwykłego, przeciętnego miasteczka. Kocie łby, kamieniczki z rzeźbionymi fasadami, stara studnia pośrodku rynku – wszystko odbiegało od jego ponurych wyobrażeń o tym miejscu. Spodziewał się zobaczyć

szare, brzydkie miejsce z kulawymi psami i zakurzonymi oknami budynków.

– No, czy tutaj nie jest pięknie? – zapytał uśmiechnięty pan Karski.

Janek za żadne skarby nie przyznałby ojcu racji, więc mruknął tylko coś pod nosem i odwrócił głowę.

Pan Karski skierował samochód z rynku ku ulicy Zamkowej. Minęli ogromny kościół i jechali teraz pod górę drogą prowadzącą przez głęboki jar. Wybrukowana kocimi łbami ulica była stroma i kręta – samochód kolebał się, a silnik jęczał i wył. Ściemniło się – do dna wąwozu nie docierało zbyt wiele promieni słonecznych. Janek miał wrażenie, że droga, która prowadzi ich coraz wyżej i wyżej, nigdy się nie skończy. Kazimierskie zabudowania dawno zniknęły mu z oczu, otaczały ich już tylko dwa ponure zbocza porośnięte krzewami. Gdy opuścił szybę, natychmiast poczuł tak charakterystyczny dla Kazimierza lekko dymny zapach butwiejącego drewna, starych kamieni i gliny. Jeszcze nie wiedział, że ta ulotna woń pozostanie mu w pamięci już do końca życia. Chłopiec się zaniepokoił. „Dokąd jedziemy? Co jest na końcu tej drogi?”. Przyjazne wrażenie, jakie wywarł na nim wesoły, kolorowy rynek ze straganami i turystami, przeminęło. Poczul się niepewnie i znowu z niechęcią pomyślał o spędzeniu w tym miejscu dwóch tygodni wakacji.

Gdy dojechali na sam szczyt, pan Karski zaparkował przy wysokim, wiklinowym parkanie, a następnie wyjął z kieszeni spodni małą karteczkę.

– To chyba tutaj. Adres się zgadza – powiedział.

Ojciec z synem wysiedli z samochodu i rozejrzeli się z ciekawości. Szczyt góry nie wyglądał na pustelnię – w zasięgu ich wzroku znajdowało się kilka zabudowań z ładnymi ogrodami. Na płocie, przy którym się zatrzymali, wisiała tabliczka z adresem i zupełnie nieczytelną nazwą pensjonatu. Janek zbliżył twarz do parkanu, ale przez gęsto plecione, wiklinowe sztachetki nie dostrzegł zbyt wiele.

– No cóż, chyba wejdziemy, co? – zaproponował tata i położył dłoń na kłamce.

Furtka otworzyła się z cichym skrzypnięciem. Znaleźli się w zapuszczonym, zarośniętym ogrodzie i po chwili wypatrzyli biegnącą przez środek, ledwo widoczną ścieżkę. Przekonani, że musi dokądś prowadzić, ruszyli przed siebie. Na razie nie widać było niczego, co przypominać mogło „cudowny pensjonat”, tak entuzjastycznie reklamowany przez mamę Janka. Po kilkunastu metrach dostrzegli wreszcie cel podróży. Ich oczom ukazał się ciemnobrązowy, drewniany dom ze spadzistym dachem i białymi okiennicami. Na wielkim tarasie znajdowały się trzy wiklinowe fotele i kamienne donice z kwiatami, a z zadaszenia spływały ku ziemi pnącza dzikiego wina. Dom wyglądał ładnie i solidnie, więc Janek pomyślał, że może tym razem jego mama nie dokonała złego wyboru.

– Ciekawe miejsce – ocenił głośno pan Karski i zawołał:
– Dzień dobry!

Chwilę później drzwi pensjonatu się otworzyły i na progu domu stanęła gospodyni. Twarz i ubranie miała zabrudzone czymś czerwonym. Wyglądała, jakby właśnie kogoś

zamordowała, ewentualnie chorowała na jakąś paskudną chorobę.

– Dzień dobry! Pan Karski z synem, o ile się nie mylę?! – przywitała ich z uśmiechem. – Przepraszam za mój wygląd, od dwóch godzin dryluję wiśnie. Całą kuchnię mam w czerwonych cętkach. Proszę do środka, zaraz pokażę państwu pokój. Zwracajcie się do mnie po prostu Joanna.

Pan Karski stwierdził, że kobieta sprawia sympatyczne wrażenie – miała wesołe spojrzenie i swobodny, beztrudny sposób bycia. Z doświadczenia wiedział, że właścicielki pensjonatu potrafią zatruć człowiekowi życie. Ta jednak wyglądała miło, co dawało nadzieję na spokojny pobyt. Zanim weszli do środka, Janek uważnie przyjrzał się płomom na ubraniu kobiety. Tak, bez wątpienia były to ślady po wiśniach. Jak na razie potwierdzały się wszystkie jego najgorsze przeczucia – trafił w miejsce, w którym nie może wydarzyć się nic interesującego. Zwykłe wiśnie, zwykły dom, nudne miasteczko. Wszedł z ojcem do pensjonatu, a pani Joanna zaprowadziła ich do pokoju.

* * *

Kuba odłożył książkę i się zamyślił. Wielu słynnych naukowców bardzo wcześnie zaczęło odnosić sukcesy, a ich odkrycia zrewolucjonizowały świat. Czy on również będzie miał szansę pójść w ich ślady? A może jest już za stary? Taki Gauss na przykład, niemiecki matematyk... Podobno już jako trzylatek znalazł błąd w rachunkach ojca, który obliczał wypłatę dla swoich pracowników, a Wilhelm Leibniz, filozof i matematyk, jako dziesięciolatek studio-